

Trzeci Punkt Widzenia

26 kwietnia 2009

O marazmie w polskiej polityce, filmie "Vicky Cristina Barcelona" i nowej książce Antoniego Libery.

obejrzyj odcinek na stronie TVP Kultura

Marek Cichocki: Witam Państwa w kolejnym programie "Trzeci Punkt Widzenia". Ze mną w studio Dariusz Karłowicz i Dariusz Gawin. Dzisiaj porozmawiamy o polskiej polityce czyli o marazmie i radykalizmie w jednym oraz o polskich katarach, o ostatnim filmie Woody Allena i o najnowszej, fantastycznej książce Antoniego Libery "Godot i jego cień". Zapraszam serdecznie.

Rozdział I

Narrator: Zdaniem niektórych obserwatorów polska scena polityczna stabilizuje się. Wydaje się, że jesteśmy coraz bliżej systemu dwupartyjnego. Przyczyniła się do tego proporcjonalna ordynacja wyborcza z pięcioprocentowym progiem i metodą liczenia głosów, faworyzującą największe partie. Dostają one też największe budżetowe subsydia, proporcjonalnie do liczby zdobytych głosów. Od wyborów parlamentarnych w 2005 roku, kiedy dwie partie Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska zdobyły w sumie ponad 61% głosów, na dobre zagospodarowały scenę polityczną. Sytuacja ta powtórzyła się dwa lata później, podczas wyborów w 2007 roku, kiedy obie partie zdobyły w sumie ponad 81% głosów. Krytycy mówią, że podobieństwo tej sytuacji do systemu dwupartyjnego w rozumieniu anglosaskim jest niezwykle powierzchowne. Partie istniejące w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych to wielkie organizmy, zdolne do artykułowania, w swym obrębie rozmaitych społecznych aspiracji, idei i

ideologii. U nas jednak trudno wskazać czytelną linię podziału ideowego między PO i PIS. Dlatego pomiędzy partiami nie sposób pokazać prawdziwego sporu o kwestie dla Polski i jej przyszłości zasadnicze. A uwaga wyborców skierowana jest na sprawy drugorzędne i styl polityki, zamiast na jej treść.

Marek Cichocki: Panowie, trzeba też czasami porozmawiać o polityce. Ostatecznie jesteśmy nie tylko ludźmi kulturalnymi, ale i politycznymi i nie będziemy się izolować od polityki w przekonaniu, że to są same brzydkie, brudne, wstrętne rzeczy. I rzeczywiście, jeżeli spojrzymy na współczesną polską politykę, to to, co rzuca się przede wszystkim w oczy, to jakaś skrajna nuda, która panuje w ostatnim czasie. I to bynajmniej nie dlatego, że nic się nie dzieje. Dzieje się bardzo dużo, a pomimo tego panuje przerażająca nuda. Nawet najwięksi skandaliści polskiej polityki, Palikot i Niesiołowski, stają się potwornie przewidywalni. Właściwie za każdym razem wiadomo, co powiedzą i zrobią (Dariusz Karłowicz: Myślałem, że chcesz powiedzieć, tak jak moja znajoma o podróży samolotem: "To jest coś pomiędzy potwornym strachem, a potworną nudą.". Ale jak rozumiem, tu nie ma elementów strachu.). Teraz jesteśmy w fazie absolutnej nudy. A jednocześnie mam wrażenie, że pod tą nudą dzieją się rzeczy naprawdę bardzo istotne. Coś się w polskiej polityce zmienia.

Dariusz Gawin: Wydaje mi się, że po pierwsze trzeba odnotować dużą zmianę klimatu. W ostatnich dniach bardzo uderzyła mnie na przykład wielka uwaga, jaką "Gazeta Wyborcza" zwróciła na film Ryszarda Bugajskiego o generale "Nilu". Pierwsza strona, w środku kilka kolumn - niebywałe, kiedyś byłoby to niemożliwe, teraz jest. Tym bardziej, że jeśli się nad tym zastanowimy, to prokurator, która skazała generała "Nilu", to była Helena Wolińska, żona jednego z najwybitniejszych rewizjonistów z lat 60. To niesamowite, że dożyliśmy takich czasów (Dariusz Karłowicz: Czasów, kiedy Andrzej Wajda potępia radykalnie współpracę z PRLem, a "Gazeta Wyborcza" chwali ten film.). Ale Markowi chodziło o politykę. A odniosłem się raczej do pewnego obszaru klimatu kulturowego, który ma oczywiście na nią wpływ. W polityce rzeczywiście dzieją się rzeczy dziwne. Ty powiedziałeś: nuda. Ja bym powiedział, że system stał się zamurowany. Do 2005 roku system polityczny w Polsce był oligarchiczny, a teraz zamienił się w jakąś dziwną partokrację. Dwie partie całkowicie zamurowały to, co dzieje się w polskiej polityce (Dariusz Karłowicz: Zabetonowały.). Uderzający jest rytuał wrogości, stabilność konfliktu. Ten chaos jest stabilny. Ale pod spodem rytuału wrogości jest bardzo dziwna symbioza, bo obie te partie bardzo siebie potrzebują. Platforma potrzebuje PiSu, żeby opowiadać, że walczy z PiSem. To jest pastisz, Ersatz polityki. Z jednej strony poseł Niesiołowski, a z drugiej poseł Kurski prowadzą ze sobą coś, co określa się mianem debaty publicznej. I to jest potrzebne, żeby powiedzieć, że jest w Polsce polityka i żeby dojechać do wyborów. W których Platforma weźmie pełnię władzy i zdobędzie coś, co nazwałbym "świętym graalem" polskiej polityki po 1989 roku, czyli dwie kadencje. Tylko po co te dwie kadencje? Bo, prawdę powiedziawszy, własnym wyborcom opowiada się, że po to, żeby zniszczyć PiS. Ale kiedy już zniszczy się PiS, to Platforma może być w dużym kłopotcie. Chciałbym zobaczyć Platformę, która ma pełnię władzy i nie musi już walczyć z tym strasznym PiSem, natomiast ma coś zrobić (Dariusz Karłowicz: Ale rewolucja się radykalizuje w trakcie. Byłby pewnie jakiś postPiS.). To będzie bardzo

ciekawe, kiedy trzeba będzie użyć tej pełni władzy do czegoś. I wtedy okaże się, że w międzyczasie zdemolowaniu uległa sfera, która służy do robienia czegokolwiek, to znaczy państwo. W tym wszystkim państwo gdzieś umyka i jest w dosyć mizernej kondycji. I ono jest w dosyć mizernej kondycji. Bo ani nie potrafi prowadzić polityki zagranicznej, ani na przykład budować autostrad. Ale kogo to obchodzi w tej sytuacji.

Dariusz Karłowicz: Najpierw słowo o tej wrogości. Pierwsze wrażenie jest takie, że rzeczywiście scena polityczna zdefiniowała się tak, że niektórzy lubią o niej myśleć w kategoriach Schmittowskich. Wszyscy wyznaczyli swojego wroga i toczy się straszliwy bój. Tylko to, co się dzieje, ma się tak do walki i wrogości jak wrestling do boksu. Oni odgrywają taki rytuał sporu, zamiast rzeczywiście go toczyć. Jeśli rzeczywiście kogoś bolą tam szczęki i plecy, to nic z tego nie wynika. Oczywiście można powiedzieć, że tym, którzy pamiętają przekleństwo partii kanapowych z początku lat 90., niekończące problemy z połączeniem się w większe całości, czteroosobowe ugrupowania (teraz coś takiego dzieje się zresztą na lewicy), rzeczywiście obecna sytuacja może się wydawać postępem. Gdyby rzeczywiście była jakąś kalką, a nie parodią systemu amerykańskiego. Gdyby chociaż były udrożnione kanały wewnętrznej kariery w partiach, gdyby one się bardziej zdemokratyzowały. Ale niestety wcale to tak nie wygląda. Mówiliście, że w jakimś stopniu liderzy czy też eksponenci stanowisk medialnych zawładnęli dyskursem. Tylko wydaje się, że oni odnoszą się wyłącznie do siebie. Nie ma żadnej rzeczywistości poza nimi. Jeszcze na początku marzeń o IV RP mówiło się o tym, co trzeba zrobić. Była modernizacja, zmiana, mówiono likwidacja WSI, otwarciu archiwów. Teraz jest wrażenie, że obie strony są całkowicie

uzależnione od siebie i zajmują się reagowaniem na swoje wzajemne zachowania. Czyli partiokracja w naszym wydaniu to system, w którym partie i liderzy zajmują się właściwie wyłącznie sobą. I media to podbijają.

Dariusz Gawin: Odwołałeś się do Carla Schmitta. Mi przypomina się lewicowa - tak teraz się mówi - filozofka Chantal Mouffe, która narzekała, że na Zachodzie jest postpolityczność, bo brakuje prawdziwych politycznych antagonizmów, a wszystko zastępuje populizm. Kiedy patrzę na Polskę, to jesteśmy dziwnym przypadkiem. Mamy postpolitykę, czyli populizm. Mamy nadpolitykę, czyli to, nad brakiem czego lamentują zachodni intelektualiści. Spór, który przybiera u nas jednak wariacką formę, a jednocześnie jest zrytualizowany. Ale kiedy jest postpolityczność i nadpolityczność, to polityki w ogóle nie ma. Bo nie ma nic po środku.

Dariusz Karłowicz: Wydaje mi się, że ten spór jest gwałtowny, tylko o nic.

Marek Cichocki: Tak, wydaje mi się, że nie ma żadnego celu poza samym tym sporem. Ale zwróciłbym uwagę na jeszcze jedną słabość, która wynika z tej samowystarczalności partiokracji, która powstała w Polsce. Mianowicie słabością jest to, co dzieje się w tak zwanej metapolityce. Mam wrażenie, że skutkiem tej samowystarczalności jest niebywała radykalizacja dyskursu

metapolitycznego. Coś, czego jak sądzę wcześniej nie było. Kiedy ostatnio przeczytałem wywiad z Magdaleną Środą, przeprowadzony przez Igora Janke, замуrowało mnie. Nie wyobrażałem sobie, że można mieć w sobie tyle radykalizmu, niechęci, braku jakiejkolwiek sympatii do innych ludzi, z którymi słynna, lewicowa pani polityczka się nie zgadza (Dariusz Karłowicz: W latach 90. o takim tekście powiedziano by z oburzeniem, że ocieka nienawiścią.). Tylko, że tutaj rzeczywiście mamy do czynienia z jakimś niebywałym ładunkiem wrogości, który całkowicie wyklucza jakikolwiek dyskurs intelektualny. Co ciekawe, to zjawisko niestety nie jest czymś, co charakteryzuje tylko polskich lewaków. Ta radykalizacja jest obustronna. Podobne zjawisko można zobaczyć z prawa.

Dariusz Karłowicz: Mam wrażenie, że sytuacja jest taka: marazmowi zradykalizowanego sporu, w którym panowie kłócą się o to, kto co i o kim wczoraj powiedział, towarzyszy obudowanie po skrzydłach radykalnym kataryzmem lewicowym i prawicowym (Marek Cichocki: Tak, to są katarzy.). Kataryzmem, bo ma on dwie bardzo wyraźne cechy. Po pierwsze całkowite poczucie czystości wewnętrznej, słuszności nie podlegającej żadnej dyskusji, prawości własnych haseł, celów. Po drugie przekonanie o nie tylko już złu moralnym przeciwnika, ale o złu moralnym całego świata. Czytając wywiad, o którym wspomniałeś, zastanawiałem się co musiałyby się w Polsce zdarzyć, żeby jego bohaterka była zadowolona. Otóż w zasadzie musiałyby zniknąć wszystko: polski katolicyzm, znaczna część polskiej tradycji... Musiałby przestać istnieć świat, w którym żyje ten, który ma takie poglądy. To po obu stronach jest bardzo wyraźne. Mam wrażenie, że mają one pewien funkcjonalny charakter, bo są straszakami na przeciwników politycznych, a zarazem pewną metodą udawania, że posiada się pewne idee.

Marek Cichocki: Tylko jak słusznie zauważyłeś, ten kataryzm w sferze metapolitycznej jest sprzęgnięty z samowystarczalnością systemu partiokratycznego, który rozwinął się w Polsce. On jest moim zdaniem reakcją bezsilności wobec zamkniętego, samowystarczalnego systemu, w którym dwóch liderów opanowało całą przestrzeń publiczną. Można powiedzieć, że na razie jest tylko wyrazem takiej właśnie bezsilności.

Rozdział II

Narrator: Do kin trafił najnowszy film Woodego Allena „Vicky Cristina Barcelona”. Jest to opowieść o dwóch młodych Amerykankach: Vicky, w tej roli Rebecca Hall, i Cristin, graną przez, Scarlett Johansson, które przyjeżdżają na wakacje do Barcelony. Vicky, jest inteligentna i czuła, ma niedługo wyjść za mąż, jednak otwarta jest na seksualne przygody. Cristina to jej przeciwieństwo. Podczas pobytu w Hiszpanii, obie bohaterki dają się wciągnąć, w romantyczno- erotyczną przygodę z Juanem Antonio , którego gra Javier Bardem. Jest on charyzmatycznym malarzem, uwikłanym w skomplikowane relacje ze swoją byłą żoną, Marią Elena, w tej roli występuje Penélope Cruz. Allen tłumaczy, że film „jest komedią z przypadku – to jest opowieść o bardzo intensywnych, dramatycznych uczuciach czworga wrażliwych ludzi, która w ręku Czechowa albo Bergmana mogłaby stać się

poruszającą tragedią. Każda z postaci jest doskonale scharakteryzowana. Odróżniają się od siebie tak bardzo, że widz dostaje w prezencie cztery światy, które w trakcie filmu w różnych konfiguracjach zmierzają ku czołowemu zderzeniu.”

Dariusz Gawin: Wydaje mi się, że nie ma co specjalnie rozwodzić się nad tym, że jest to dosyć słaby film. Od pewnego czasu mam wrażenie, że Woody Allen produkuje parodie samego siebie sprzed lat. Więc to nie jest właściwy temat. Warto się skupić na czym innym. To znaczy na tym, że jest to podobno jeden z bardziej kasowych filmów, jakie nakręcił Woody Allen. Sam byłem w niedzielę wieczorem na tym filmie i była pełna sala (Dariusz Karłowicz: Też byłem w niedzielę i też było pełno ludzi. Pewnie w niedzielę jest w ogóle najwięcej ludzi.). Wydaje mi się, że ludzie w jakiś sposób rozpoznają się w tym filmie. Chociaż ten film sam w sobie nie musi być tematem, to mówi coś o stanie ducha, sytuacji w kulturze współczesnej.

Dariusz Karłowicz: To nic dziwnego, bo film jest zrobiony według recepty na girlsband. Wedle klucza "dla każdego coś miłego". Dla jednych piękna blondynka, dla drugich piękna brunetka, dla wszystkich porywająca Penelopa Cruz, a na dodatek wiecznie nieogolony hiszpański, a jakże, artysta. I wszystko wokół miłości, tęsknoty, niespełnienia, pożądania. To jest od Rodziewiczówny niezmienny zestaw gwarantujących powodzenie elementów. Ale to oczywiście nie koniec marketingowych sztuczek, bo jest rzecz chyba jeszcze ciekawsza. Ten film jest produktem niemal w stu procentach -

przepraszam za kolejny anglicyzm - lifestyle"owym. Związany ze stylem życia. Co to znaczy? To jest kategoria, w której mieszczą się również liczne pisma ilustrowane i kanały tematyczne, które mówią, jak żyć modnie, wygodnie i pięknie. Żeby to wszystko było ładnie. Co jeść, co pić, gdzie jechać na wakacje, co wypada zobaczyć, jakie mieć na ścianie tapety, ale i obrazy, jaki pisarz jest w modzie, jakim malarzem należy się zachwycać. Już nie chcę tu przez złośliwość mówić, jakim to malarzem należy się dzisiaj zachwycać. Ale każdy, kto czyta pisma kobiece, choćby u dentysty, dobrze o tym wie. Ten film na przykład tłumaczy nam, że w dobrym tonie jest pojechać na wakacje do Barcelony. Trzeba zachwycać się Gaudim, pić dużo miejscowego wina, zgłębiać specyfikę tożsamości katalońskiej. Oczywiście również zgłębiać tajemnice kuchni katalońskiej. Bardzo ciekawa jest obecność, albo nieobecność, sztuki w tym lifestyle"owym produkcie. Bo tam się dużo o niej gada. To jest trochę tak jak z pisarzami w ilustrowanych pismach: są ich nazwiska, nawet okładki książek, ale jest takie wrażenie, że w tym zestawie stanowi on element niezbędnej przyprawy, którą się jednak nie szafuje w daniu. Nie wiem, czy jest ona za ostra, czy może popsuć smak.

Marek Cichocki: Muszę powiedzieć, że wyszedłem z tego filmu strasznie zdenerwowany. Pomyślałem sobie, że koniec z tym, nie będę już chodził na filmy Woody Allena, bo moim zdaniem to po prostu nie ma sensu. Tak jak powiedziałeś, pozostaje smutne wspomnienie naprawdę genialnych filmów, które nakręcił, takich jak "Manhattan" czy "Annie Hall". Ale, co ciekawe, akcja jego naprawdę genialnych filmów miała miejsce w Nowym Jorku, najczęściej wśród mieszkających w środowisku żydowskim intelektualistów. Potem ci bohaterowie przenieśli się na wieś i w "Seks nocy letniej" było tak lekko, ale troszeczkę nudnawo. Teraz bohaterowie wyjechali do Barcelony i tego moim zdaniem absolutnie nie da się oglądać. Miałem takie wrażenie, że

Woody Allen robi te filmy już tylko i wyłącznie dla pieniędzy. Słyszałem, że dostał od miasta Barcelona dużą sumę pieniędzy, żeby zrobić tam film (Dariusz Gawin: Milion euro.) (Dariusz Karłowicz: Czyli moje lifestyle"owe podejrzenia się potwierdzają.). Natomiast oczywiście macie rację mówiąc, że ten film jest o tyle ciekawy, że pokazuje pewien typ tęsknoty. Ta tęsknota jest rzeczywiście bardzo mieszczańska, wzięta żywcem z modnych pism lifestyle"owych. Znowu posługując się angielskimi pojęciami, jest to życie nakierowane na slow food i slow life. Takie rozsmakowywanie się. Jednocześnie Europa służy tutaj Allenowi jako argument przeciwko temu wszystkiemu, czego już tak naprawdę nie lubi w swojej Ameryce. I z powodu czego wyprowadził się mentalnie i w swoich filmach z Manhattanu.

Dariusz Gawin: To jest czwarty film z kolei, który Allen robi poza Stanami w Europie. Ty mówiłeś o "Manhattanie" i o "Annie Hall". Wydaje mi się, że on wtedy Amerykę mimo wszystko kochał. Żart z Ameryki w "Manhattanie" był ciepły. A tutaj widać już tylko zmęczenie. W historii dwóch bohaterek uderzające jest to, że obie ponoszą w końcu porażkę. Chociaż reprezentują dwa pozornie przeciwstawne style amerykańskiego życia intelektualnego (Dariusz Karłowicz: Powiedzmy, że raczej kulturowego, niż intelektualnego.). Z jednej strony Christina, grana przez Scarlett Johansson, jest uosobieniem kontrkultury, natomiast Vicky, grana przez Rebeccę Hall, jest uosobieniem konserwatyzmu. Dla obu jednak historia ta kończy się porażką. Obie wracają do Stanów zgorzkniałe po nieudanym romansie z hiszpańskim, europejskim artystą-malarzem.

Dariusz Karłowicz: Europa występuje tu jako retoryczny chwyt. Ona jest taka nierzeczywista, bo występuje w roli retorycznego argumentu, który bardzo dobrze znamy z naszych polskich sporów. Rozstawia się piękną, europejską dekorację, żeby na tym tle lepiej widzieć własną zaściankowość i brzydotę. To jest ciekawe, bo jest to podobny rodzaj tęsknoty wykorzystywania Europy jako pewnej figury. Tyle że różnica między Allenem a naszymi retorami polega na tym, że on widzi tandetę mieszczańskiej tego obrazka. Myślę, że on wie, że takiej Europy nie ma. Bo ten film, mimo całej lekkości, jest jednak ciągłym sporem z Ameryką. Dziwne, że tym razem całą. Coraz bardziej całą. Bo jest to film o marzeniach i niepokojach nowojorczyków. Allen nie opuszcza tak naprawdę Manhattanu. Zrobił dla Barcelony to, co miał zrobić, realizuje reklamowy obstalunek, ale ten film jest bardzo amerykański. Chociaż nikomu bym go nie polecił, to muszę powiedzieć, że o ile nie upierałbym się, że Allen to znakomity artysta, to doskonały rzemieślnik już tak.

Rozdział III

Narrator: „Godot i jego cień” Antoniego Libery wydane przez wydawnictwo Znak to osobista opowieść autora o sile literatury i jej wpływie na nasze życie. Libera opowiada o własnych kontaktach z Beckettem. Jak sam pisze jego fascynacja tym autorem rozpoczęła się w 1957 roku, gdy jako ośmioletni chłopiec, obejrzał w warszawskim Teatrze Współczesnym pierwszą polską adaptację „Czekając na Godota“. Od tamtej pory całe jego życie splatało się z

Beckettem – lektura kolejnych dzieł, teatralna adaptacja „Końcówki“ w teatrze studenckim, próby translatorskie, paryskie spotkanie z mistrzem. Libera w swojej książce pokazuje, jak obcowanie z wielką literaturą może stać się centralnym doświadczeniem życiowym i jakie tkwią w niej siły. Antoni Libera urodził się w 1949 roku. Jest pisarzem, tłumaczem, reżyserem, znawcą twórczości Samuela Becketta. Ukończył studia na Uniwersytecie Warszawskim. Przełożył i wydał wszystkie dzieła dramatyczne Becketta, część jego utworów prozą oraz eseje i wiersze, reżyserowała także jego sztuki. Dotychczas zrealizował blisko trzydzieści spektakli. Tłumaczył również Oskara Wilde’a i tragedie Sofoklesa.

Dariusz Karłowicz: To dobry rok. Znowu mamy przyjemność mówienia o dobrej książce. Bardzo dużym wydarzeniu literackim i intelektualnym naraz. Bo o książce Antoniego Libery "Godot i jego cień" mówi się trochę tak, jakby to miała być głównie uczta dla miłośników Becketta albo Libery-tłumacza, reżysera, komentatora. To błąd, bo ta książka jest zdecydowanie czymś więcej. Jest to świetna autobiograficzna powieśćo duchowej historii. W jakimś sensie, choć tu oczywiście trzeba być bardzo ostrożnym, ciąg dalszy "Madame". Rzecz zachwycająca oryginalnością, jakąś szczególną dykcją własną, intelektualnie niezwykle porywająca. I przy tym pisana w taki sposób, że czytanie tego jest ucztą.

Dariusz Gawin: Ona raczej uzupełnia "Madame", dlatego że "Madame" było o dorastaniu emocjonalnym, sentymentalnym, natomiast tutaj jest dojrzewanie intelektualne. Ale z historią w tle. To też jest bardzo interesujące, bo jest tam zreżymowana historia około 20 lat PRLu, od końca lat 50 do 1978 roku (Dariusz Karłowicz: Ta forma pozwala pokazywać PRL przez konkret doświadczenia.). Przez anegdotę, przez własną historię - mamy tam atmosferę Października, Marzec'68, rodzącą się opozycję (Dariusz Karłowicz: Ale są też jednocześnie zmiany metafizyczne.).

Marek Cichocki: Tylko że ta historia nie jest tylko i wyłącznie portretem, to jest też droga. Bo po tej historii krąży człowiek, który rozpaczliwie poszukuje sensu zapisanego w słowach niedostępnego, wielkiego mistrza. Rodzi się tu takie skojarzenie z bardzo znaną literacką figurą duchowego przewodnika, który prowadzi nas po tym świecie. Za przykład może służyć Wergiliusz Dantego. Figurą, która ma w sobie szczególnie w dzisiejszym kontekście pierwiastek religijny.

Dariusz Karłowicz: To w ogóle dobra formuła, bo "Madame" to była Beatrycze, a Wergiliusz jest cicerone, który przejmuje tego wzrastającego bohatera. Dla mnie rzeczą uderzającą i wielkim paradoksem tej książki jest właśnie figura mistrza, który prowadzi przez kręgi PRLowskich piekieł i rzeczywistości tamtych czasów. Bo to jest poszukiwanie sensu utraconego w beznadziei PRLu, ale dotyczy pisarza, który kojarzy się z pesymizmem i

obrazem rozpadu świata. To jest rzecz w jakimś sensie o pocieszeniu, jakie daje literatura Becketta. Pocieszeniu, bo jednak finał tej książki jest rodzajem spełnienia. Następuje spotkanie z mistrzem.

Dariusz Gawin: To jest niesamowita historia, bardzo interesująco opisana, bo wciąga. Jest pełna emocji. W 1978 roku Libera jest w Paryżu i umawia się z Beckettem, co jest bardzo trudne. Przychodzi do restauracji, w której kelnerzy mówią mu, że Beckett właśnie wyszedł, bo nie wyznaczył dokładnej godziny. Więc wydaje się, że wszystko przepadło, następuje seria perypetii i w końcu tego samego dnia spotyka się z nim. Czyli czekanie na Becketta, czyli Godota, w tej powieści miało jednak sens.

Dariusz Karłowicz: Może sens tej historii jest taki, że mądrość nadaje życiu sens, nawet jeśli jest mądrością gorzką. To pewnie pozwala wytłumaczyć taki dziwny, radosny klimat ostatnich partii książki.